# Rozmaitości

DNIA 21. LISTOPADA Ner 47. 1835 ROKU.

## URSYNA, RÓŻA SALERNU.

POWIEŚĆ.

Komu się gwiazda nieszczęścia rozświeci,
Próżno za kotwę obiera nadzieję;
Choć silną dłonią skały się uchwyci,
Los go potrąci w zatopu koleje!

*Lekarz swojego honoru.*

Młodzieniec niesie oblubienicy swojéj w poranek wesela spłonione lice, ogniste miłości spojrzenie, wrzące serca bicie, gorące uściśnienie dłoni; niesie jéj kwitnącą siłę młodości, niesie niebo słodkich marzeń, zdrój serdecznych uczuć; — a luba wyboru jego dziewica, upojona nadmiarem szczęśliwości swojéj, uniesiona urokiem zachwycenia, rzuca się w jego ramiona, zatapia oko swoje w oku kochanka, daje mu spojrzeniem pieściwie i miłośnie, czego pieściwie i miłośnie spojrzeniem pragnął. Te są dary oblubieńca, które uszczęśliwiają oblubienicę, i które dzień ślubu czynią dniem niewysłowionéj rozkoszy.

Mężczyzna wieku podeszłego, z poradlonem licem, który już wiosnę życia swego między słodkie przypomnienia z westchnieniem liczy, niesie swojéj młodéj oblubienicy kosztowne świecidła, drogie perły, litę złotogłowy. Jakkolwiek te dary nie są jéj niemiłemi, nie zdołają przecież rozpłomienić i rozradować serca; są zimne i ciężkie, utrudzają płoche ulotnych godzin skrzydła, którym owe nadają uroczą i niepowściągnioną chyżość; serce dziewicy nie rozognia się; strzał jéj oczu niezapala; — same tylko łyszczą klejnoty, ale ich połysk jest martwy, życia nie dający.

Z takąto radością powitała nadobna Ursyna di Palumba dzień, w którym miała zaślubić Ilaria di Ghiberti, bogatego i wielowładnego namiestnika w Salernie.

Komuż nie znane są cudnie piękne salerneńskie róże? Któż nie podziwiał świetności gwiazd po nad widnokrąg Neapolu, rozsianych po błękitnym niebios kobiercu?

Nim don Ilario przyzwolenie hrabiego Palumba pozyskał, zwano Ursynę gwiazdą Neapolu; a gdy wieść o jéj przeznaczeniu neapolitańską młodzież przestrachem przejęła, nazwano ją różą Salernu.

Nie na pięknéj pełności ciała zależały jéj wdzięki, i owszem, szczupłą była; ale jak pięknym równomiarem jéj gładka, wysmukła kibitność zachwycała oko! jakiegoż nie była uroku jéj piękna, nocą kruczych włosów w połysny kędzior umilona głowa! Płeć jéj nie była lśniącéj, śnieżnéj białości; bo ta w południowych krajach nie popłaca, ale leciuchna smagławość, z pod któréj najświeższy karmin przeglądał, to znamię wrzącego uczucia świadczyło powabnie o jéj czérstwém zdrowiu. Najwdzięczniejszym wszakże urokiem jaśniały lube Ursyny oczy. W cieni dwóch czarnych łuków, pod zasłoną bujnéj rzęsy tlały przenikliwym żarem, nito dwie gwiazdy w noc pogodną; po nad niémi wznosiło się spaniałe czoło; twarz jéj zdobił nos orlego kształtu, zdobiły świéże, miluchne usta najpiękniejszego koralu, w których zamieszkał najbielszy rząd pereł. Piękna, kształtna nóżka, okrągłe, potoczyste ramię, jakie tylko Rafał malował; otoż słaby rys wdzięków Ursyny di Palumba, uwielbianéj salerneńskiéj róży.

Obok niéj don Ilario di Ghiberti, markiz di Campagnoro, jéj narzeczony, mężczyzna wzniosléj postaci, surowego poglądu, już w późną jesień lat idący. W obliczu ponurém wyraz powagi i dumy; a chociaż oko jego już nie płonie dzikim żarem namiętności; nie straciło jednakże téj żywości, jakiéj trzeba właśnie, aby młodéj dziewicy nie zabrać nadziei szczęśliwych chwil w małżeństwie.

Szczęśliwych?... Tak się spodziéwa Ursyna, bo jéj to rodzina przyrzeka, zapewniają rodzice! Ursyna jeszcze nie kochała, najsłodsze rozkosze najświętszego uczucia są dla niéj jeszcze tajemnicą. Don Ilaria ponure, wyrachowane zachowanie się nie wpada jéj w oczy, nie baczy na to, że on ją z dzikim zapałem w swoje nie bierze objęcie; że usta jego z jéj się ustami w słodki całus nie kojarzą, to ją bynajmniéj nie martwi; chętnie przestaje na zimném poważaniu, na przyzwoitéj grzeczności; z dziecinną radością przymuje książęce markiza dary; szczérém sercem, błogim uśmiéchem odwdzięcza mu usiłowania i wszystkie zabiegi sprawienia jéj jakiéjkolwiek przyjemności; jednakże nie kochając wcale, nie kocha i jego, a już szesnasta wdzięczy się jéj wiosna, a miłość praw swoich zaniedbać nie zwykła.

I.

Starość zazwyczaj rozumem to ceni,
Co nieba tylko sercem pojąć dały.
*Lékarz swojego honoru.*

Od lat dwóch prawie snuły się roje czcicieli około Ursyny, każdy znakomity młodzieniec w krzywdęby sobie był liczył, nie należéć do ich grona; śród powszechnego wszakże nacisku świetniéj jaśniały Ilaria przymioty: najznakomitszy rodem, piérwszy znaczeniem, bogactwami słynny; więc, lubo wdowiec, nad wszystkich zalotników przenieśli go dumni Ursyny rodzice, którym ten związek szedł w pochlébny zaszczyt. A córka? Ach, któż pyta córki, młodéj, bez doświadczenia! Pan ojciec każe, pani matka wystawia dziecku, coto za wysokie szczęście, być małżonką namiestnika, być otoczoną urokiem bogactw i zaszczytów; więc o chęciach córki wątpić czyliż podobna! Stanęła tedy ugoda. Don Ilario przysposobił do wesela wszystko, coby dziecku, nie znającemu jeszcze miłości, radość sprawić mogło. Za miejsce uroczystości przeznaczył we wdzięki natury okwitą willę Amaranto, u podnóża góry Salaro, na małéj wysepce Kapri. Tu niewinnych uciech używał August, tu rozkoszował okrutny Tybery, a willa Amaranto byłato jedną z onych dwunastu, w których on tyran ostatnie chwile swego nikczemnego życia w najrozwięzlejszéj przepłużył rozpuście. Okna okazałéj willy wiodły w daleki, zajmujący widok piękności krainy italskiéj; rozkoszą upojone oko pędziło za morze... w zatoki Neapolu, Salernu, Gaety, liczyło wieże i zamki tych grodów, a obiegłszy w skałach kute ponadbrzeżne wioski, sięgało dumnie w szczyt Wezuwijusza; spoczęło chwilkę na opoczystym Soranto, lecz nowym wdziękiem wabione okrąża przedgórze Massy, i daléj po górach i niebie i morzu... aż nakoniec zanurzone w dalekim zachodzie, zawisło na skalistych warowniach Sycylii. Pobliża willi porastały winem, dzikowrzącym płodem południowych Włochów, którémto uroczystość dzisiejszą uspanialić zamyślił Ilario.

Z Neapolu, Salernu, Sorantu, Kapri i Gaety zjechała liczna szlachta i wybór rycérskiéj młodzi, a długim, od szat pozłocistych lśniącym się pocztem jechały na suto przybranych mułach okazałe i pany i panie do wcieśnionego w dwie góry Kapri, gdzie w farnym kościele ksiądz biskup uroczystém zaślubieniem świetne kojarzył małżeństwo. Lud okoliczny zebrał się tłumnie, a piękny, wiosenny poranek zwabił nawet przez zatokę morską mnóstwo ciekawych. Z uczczeniem witała młodzież salerneńską różę — z wymuszoném przymileniem przyjmowały ją zazdrosne kobiéty; lecz odmęt powszechnéj radości zjednoczył wkrótce przeciwne żywioły.

Spaniałość uroczysta uczty, świetność znakomitych gości, przepych weselnéj biesiády — wszystkoto w dziecinném Ursyny sercu nieciło wielkiego szczęścia przeczucie, i cała płonęła widocznie najżywszą radością. Postrzegł to Ilario, i ująwszy z zapałem jéj od klejnotnych pierścieni łyskającą rękę, z dumą rzekł do zgromadzonych gości: »Na całym świata przestworzu jeden szczególnie jest człowiek, którego namiętnie mam w nienawiści. Nie znam go osobiście. Jestto Maurycy de Lede, on Francuz, który zeszłego lata wiódł flotę hiszpańską na Sardyniję, a nie dawno temu, wylądował na brzegi Sycylii. Już ojciec jego był mi zaciętym wrogiem, i od niegoto pochodzi ta wzajemna nienawiść. Markiz mniemał się w czasie pobytu mojego w Paryżu obrażonym ode mnie; wieleby o tém mówić; słowem, markiz był w łaskach u starego Ludwika, i pozbawił mię dostojeństwa posła. Przeniesiono mię następnie do Madrytu. Markiz de Harcourt, poseł francuzki oczernił mię przed królem i królową... i markiz Lede był wtedy w Madrycie! Wiedziałem dobrze, czyje mię

ścigają pociski. Prawdą, że się pomściłem dotkliwie. Jegoto podstępy wypędziły mię z Madrytu; przed wyjazdem wszakże umiałem się od dalszych prześladowań jego zabezpieczyć. Z tém wszystkiém jego syn odziedziczył nienawiść i zemstę. Onto wygnał mię z ojczyzny — ścigał za granicą. O, na Boga! ten Maurycy tkliwiéj niż ojciec zranił serce moje; skrzywdził mię, jakby nikt w świecie nie był się poważył: a przecież... przecież, zacni przyjaciele! gdyby w téj chwili przyszedł do mnie, i dłoń swoję w bratni ucisk podał; przysięgam na Boga! jabym go przycisnął do serca — mirem i moją przyjaźnią uraczył: tak wielka i szczytna jest dziś radość moja, tak wielkie zadowolenie!«

»Hm! nie byłoćby w tém wcale nic dziwnego,« napomniał jeden z gości, »gdyby się Maurycy Lede do was, monsignore, w gościnę zaprosił. Przed kilku dniami pisał mi jeden z moich donosicieli, że markiz zamyśla oblężenie Messyny. Cóż dziw? gdyby mu przyszło do głowy przepłynąć do Kapri, i powiększyć liczbę waszych gości! Ma być śmiałym, ba zuchwałym nawet; a wieść rozgłasza świetność wesela waszego daleko; i do Sycylii wiadomość tę zaniosła zapewnie.« Wielu przytomnych pobladło, damy lękliwie w koło poglądać poczęły i trwoga wraz z gośćmi zasiadła do stołu.

»Jako?« odezwał się po chwili inny Neapolitańczyk, »nie znany wam, monsignore, wódz hiszpańskiéj floty? a przecież mówiono mi za rzecz pewną, że się z wami pojedynkował!«

»Tak jest, w saméj istocie,« odrzekł Ghiberti, »mieliśmy z sobą krwawą rozprawę, a przecież go nie znam. Wiadomo wam, kiedy w skutek pokoju, zawartego w Utrechcie, przypadliśmy pod rządy dworu rakuzkiego; toż pamiętna wam zapewne będzie trwoga, jaką całe Włochy przejęła wieść niespodziana, że flota hiszpańska wzięła Sardynię i nasze królestwo dla don Karlosa opanować myśli. Otóżto wtedy — będzie temu dziewięć miesięcy — już późno wieczorem udałem się był do portu dla załatwienia niektórych zaszłych tam pomyłek; w tém zjawia się jakiś mężczyzna, starannie płaszczem osłoniony, i dobywając szpady, pyta zuchwale, czy ja istotnie markiz di Ghiberti jestem; otrzymawszy stwierdzenie swojego mniemania: »Więc broń się!« zawoła groźnie; »jam jest Maurycy Lede!« I słowaśmy więcéj nie rzekli; walka się rozpoczęła; żądza zemsty podżegała wzajemny zapał — duma go wzmagała. Mój przeciwnik robił zręcznie bronią, i bój już zaczął stawać się niebezpiecznym, gdy mój troskliwy sługa nadbiegł z majtkami ku mojéj obronie. Noc posłużyła ucieczce markiza; ścigać go nie pozwoliłem!«

»Tak spaniałomyślny postępek godzien uczczenia!« ozwało się kilku ze szlachty.

»Waleczności Francuza trzeba oddać słuszność,« odparli inni z przyciskiem. Namiestnik dumny, pokłoniwszy się tamtym uprzejmie; zmierzył tych ponurém okiem; roztropność kazała inny wziąć przedmiot w rozprawę, bo też i *Łzy Chrystusowe**) lica ucztujących już rozpłomieniły. W tém dają znać gospodarzowi, że właśnie przybyły z Neapolu goniec wicekróla ma do niego ważną depeszę. Wpuszczony do sali wręczył namiestnikowi pismo, a podczas gdy przelęknieni panowie udzielali sobie wzajem domysłów o powodach nadzwyczajnego poselstwa, czytał Ghiberti z wzrastającém pomieszaniem:

»Przykro mi, drogi markizie, że was z koła »rodziny i przyjaciół wywołać muszę; lecz »słodzę sobie wszakże mój własny żal tém prze»konaniem, że jako wierny panu swojemu pod»dany, nad wszystko przeniesiecie powinność. »Nie tajno wam, jak wielu panów naszych »sprzyja Hiszpanii. Tu, w saméj stolicy za»wiązali towarzystwo, którego naczelnicy »między innymi ucztują dziś z wami. Zu»chwalstwo ich wzmaga się codziennie, po»ruszenie raźno się rozkrzewia; a powstanie »na korzyść infanta zda się być w zamiarze »szlachty. Szpieg mój, portreciarz Takko, pisze mi z Palermu, że powiernik markiza Lede »(którego nazwiska pismu nie powierzam), témi »dniami do Neapolu przybędzie, celem po»rozumienia się ze spiskowymi, przełożenia »im układu spisku, i umówienia się, kiedyby »im najzręczniéj, za czynném wspiéraniem »hiszpańskiego wojska, powstanie rozpocząć, »i Neapol w imię don Karlosa zająć wypadało. »Poczciwy Takko przysłał mi wierne wyobra»żenie tego zapaleńca. Spieszcież mój drogi »wierny natychmiast do Salernu, gdzie za»staniecie już wizerunek i dalsze zlecenia.«

»Dań w Neapolu d. 20. maja 1718.

»Ja — wicekról.«

*) Wino mocne; najlepiéj udaje się w pobliżu Wezuwijusza.

Przeczytawszy powstał zmieszany Ghiberti, i przeprosiwszy zdumiałych gości, że ważne i bardzo pilne sprawy kraju odwołują go do Salernu, niebawem odjechał.

Nazajutrz, chcąc niespodzianém zjawieniem się ucieszyć małżonka, wyprzedziła Ursyna rodziców, a wszedłszy ostrożnie do pokoju namiestnika, zastała go przed małym wizerunkiem w głębokiém zadumaniu. Tak się zatopił w jego oglądanie, że wtedy nawet nie postrzegł swojéj żony, gdy już stanąwszy za nim, podobnie jemu w obrazek ciekawie się wpatrzyła. I na niéj zrobiły te rysy równie głębokie, choć wcale inne wrażenie; gdy bowiem w zimnéj duszy markiza myśl się ubiegała o przypomnienie znanych niegdyś mu rysów, hożą Ursynę zachwycało wyobrażenie pięknego młodzieńca. Wdzięk uroczy w świeżém licu, w śmiałém oku dziki zapał, w dumném czole męztwa znamię... o! taki obraz w młodéj niewieście nie zagaśnie obojętnie, pociąg wrodzony ku sercu go pędzi, gdzie w luby oddźwięk wita go uczucie. Marzenia uniosły zachwyconą Ursynę w krainę uroków, a z wielkiéj, ciemnéj źrenicy połyskał płomień wstrzelony w obrazek. Tak, zapomniawszy o mężu i sobie, w niemém osłupieniu chwilę zostawała, aż na głośny wykrzyk Ilaria: »To on!... on, niezawodnie!« ocknęła się nie najprzyjemniéj, i głębokiém, stłumionem westchnieniem przypomniała sobie, że to głos jéj męża.

»Podobieństwo mamiące!« rzekł po chwili do siebie Ghiberti.

»Piękność nieporównana!« odpowie z uśmiechem, witając męża Ursyna, a markiz obejrzawszy się przyjemnie zdziwiony, ujął poważnie małżonkę w ramiona: »A signora!... jak słodka, niespodziewana chwila!«

»Gdybyto był wizerunek kobiéty, a nie mężczyzny,« mówiła daléj wdzięcząc się Ursyna, »nie ręczę, czybym zazdrości nie stała się wzorem.«

»Ach, signoro, gdybyś wiedziała kogo te rysy w pamięć mi przywodzą, czyje są one, kogo przedstawiają, nie dziwiłby cię zaiste udział, z jakim się w nie wpatruję.«

»I któżto jest właścicielem tych zajmujących rysów?« chciwie pytała Ursyna.

»Jestto zacny Hiszpan, któremu winien jestem życie, a w miarę wzrostu szczęścia mojego,« dodał z przymileniem stosując do żony, »wzmaga się wdzięczność moja dla niego. Pałając nienawiścią przeciwko Francuzom, i pomny krzywd, doznanych w Madrycie, zaciągnąłem się był w czasie hiszpańskiéj wojny o następstwo do wojska sprzymierzeńców Habsburga. Pominąwszy ogółowe zdarzenia wojenne, wspomnę tu o mojéj przygodzie. Byłoto w grudniu 1710 r. — pamiętam jak dzisiaj — dzień był chmurny, dészcz nieustający, gdy ocaloną z porażki zeszłego dnia garstkę mojego oddziału naszli w wąwozie Hiszpanie, i znieśli do szczętu. Ciężko raniony padłem bez zmysłów. Nade dniem przecież ocknąłem się z omdlenia; przemokłem do nitki, a w bezwładne głodem i niewczasem członki, dzwoniła drészcz przenikliwa, jakby do pogrzebu; rany długo zaniedbane, piekły dokuczliwie, a w domiar okropnych męczarni, dręczyło mię nieugaszone pragnienie. Gdy zadniało, powlokłem się z trudnością ku drodze; lecz po krótkiéj chwili uciążliwego pełzania, znużony ległem na gościńcu, a ujrzawszy na czele kilkunastu jezdzców ku mnie jadącego młodego Hiszpana, pozdrowiłem go hiszpańskim językiem, prosząc o posilenie. Odwzajemnił uprzejmie moje pozdrowienie, a zsiadłszy z konia, podał mi bukłak z winem i kawałek chleba i zawinąwszy mi rany, wysadził na konia. Gdyśmy w najbliższéj wiosce stanęli, przewdział mię w suche, ciepłe odzienie, posilił... słowem, pielęgnował, jak ojca. Podczas krzątnego koło mnie starania, zapytał mię przypadkowo o moje nazwisko, ledwo je wszakże usłyszał, zmienił się nagle i piękne lice ponuro zasępił. Tém zdziwiony zapytałem, czybym był mu znany? »Nie...« odrzekł obojętnie, dodając po chwili: »Markizie, koń wasz w pogotowiu; a w jukach na nim żywność i bukłaszek wina.« To rzekłszy, wskazał mi bezpieczną drogę do Barcelony, gdzie nasi stali obozem. Najczuléj mu wdzięczność wysłowić usiłowałem; lecz z zimną Hiszpana pychą wzgardził tkliwém wynurzeniem, a gdym o imię wybawcy zapytał: »Henryk Karro, oficér hiszpański,« odrzekł, i dosiadłszy spiesznie rączego rumaka, nie pożegnawszy mię, zniknął w mgnieniu oka. Imię i rysy zacnego młodzieńca wdzięczność mi w sercu wyryła głęboko, a miły wdzięk jego lica stawał mi codziennie przed oczyma.

Wystawże sobie, donno Ursyno, moje zadziwienie, gdy rozkazem wicekróla przyzwany do domu, wizerunek ściganego Hiszpana, który w Neapolu zażega powstanie, znajduję, i w jego rysach szlachetnego Henryka de Harro poznaję!«

»Czy podobna!« zawołała Ursyna. »Oby nieba opiekuńcze do nas go przywiodły!«

»Przebóg, signora! coza życzenie?... Z tém wyobrażeniem otrzymałem oraz najsurowszy rozkaz użycia wszelkich środków, by tego człowieka żywcem, albo trupem pojmać; a niektóre wyrazy pisma wicekróla wnosić mi każą, że trupa chętniéjby widziano; tak albowiem zaoszczędzonoby następne — w Neapolu teraz niebezpieczne — stracenie jego.«

»Jako, don Ilario! i w tak groźném położeniu możesz nie pragnąć najgoręciéj, aby się don Harro dostał w twoje ręce, które jedynie ocalić go i mogą i powinny! Ach, markizie i twojeż sumienie na ten pomysł się nie odzywa, iżbyś życie wybawcy wydał w zabójcze szpony oprawców? O, jakżebym się boleśno zawiodła na tobie! Nad doczesne, dowolne ustawy, słuszniéj się praw świętych ludzkość dopomina. Bóg i don Harro dali ci życie, król tylko urząd i zaszczyty.«

»Żywy zapał, z jakim signora bronisz sprawy Hiszpana, daje mi cię poznać z bardzo pięknéj strony, a świadcząc razem o przywiązaniu twojém ku mnie, błogo uchwala wybór mego serca.«

»Nie pochlebstwa żądam, monsignor,« odpowié mu żona z niechęcią, »lecz uroczystego przyrzeczenia, że wszelkich starań przyłożysz ku ocaleniu życia temu, któremuś winien własne.«

»Ależ racz zważyć signora, jakim losem grozi nam wolność zapaleńca!«

»Niech cię to nie troszcze. Dostawszy go w swoje ręce, przestrzeż, że zdradzony; że zewsząd nań czuwa śmierć nieochybna; potém przewieź go nocą do Sycylii; a tak, gdy namiestnik schwyci winowajcę, markiz de Ghiberti wywiąże się z długa.«

»Uspokój się, signora!« odpowié markiz zawstydzony i wzruszony przekonywającém żony naleganiem. »Ja... ja tylko ciebie doświadczać chciałem. Natychmiast każę powiernikom śledzić wzdłuż pomorza, i sam niebawem za nimi pospieszę; a jeźli nieba staraniom moim pobłogosławią; ocalony don Harro powita wkrótce swoję piękną obronicielkę.«

»O! spiesz się, spiesz żywo, szlachetny Ilario!« prosiła uradowana Ursyna; i on już się dawno był oddalił, jéj piękne oczy spoczywały jeszcze na obrazku, pierś jéj wznosiły głębokie westchnienia, i mimo wiedzy, w słodkiém obłąkaniu, mówiła raz po raz drżącémi ustami: »Jestto promieniste oblicze anioła! Kto mu nie sprzyja, będzie wiecznie nieprzyjacielem moim! Ach ocal, ocal go Boże!«

(Ciąg dalszy nastąpi.)

## JESIEŃ.

Z rossyjskiego Gniedicza.

O! spaniałe dąbrowy, gdzież wasze odzienie?
Gdzie są wasze powaby, wy wzgórki i niwy?
Kędyż jest wonność kwiatów, strumyków mruczenie?
Kędyż wdzięk twéj piękności, ziemio, pieszczotliwy?

Gdzież, które swém śpiéwaniem gaje weseliły,
Gdzie uciekły śpiéwaków uskrzydlonych chóry?
Czemuż przytułkiem swojéj swobody wzgardziły?
Wszystko w koło posępne: lasy, pola, góry.

Szumi gwałtowny wicher po nagiéj drzewinie,
I żółty liść daleko w gęstych kręgach wionie:
Tak chwilowém zjawiskiem wszystko, wszystko ginie;
Tak dumny człowiek kwitnie, i w nicości tonie.

Na skrzydłach milczącego czasu, szybkim pędem,
Starość i zima, zgroza natury, przylata,
A równie bystre, żadnym już niezwrotne względem,
Porwą, jak wiośnie kwiaty, tak nam młode lata.

I cóż więc? trapicie się tą koleją srogą,
Wy, których i nadzieje i żądze nikczemne
Po nad znikomą ziemią ledwie pełzać mogą,
I duchy wasze zamkną wiecznie w groby ciemne!

Lecz kto z świętą nadzieją wzniosłą wsparty duszą,
I za smutną mogiłą przyszłość jeszcze widzi,
Tego pewnie łzy wasze do płaczu nie wzruszą,
Gardzi niemi, a z ziemskiéj przewrotności szydzi.

Czyliż wiosna już nigdy nie okrasi ziemi,
I czyż słońce już wiecznym zapadło zachodem?
Nie — nie! Wschód się zaiskrzy szkarłaty nowémi,
Wiosna murawy nowym zazieleni płodem.

A ja wtedy w nicości będą pogrążony,
Gdy wszechmocna prawica kwiaty znów rozwije,
Gdy robak, dnia mieszkaniec, śmiercią ożywiony,
Na złotych skrzydłach z grobu w niebiosa się wzbije.

Zmieniajcie się o czasy! spieszcie w wieczność lata!
Wszakże nadejdzie kiedyś wiosna nieprzerwana,
Żyje Bóg, żyje dusza! król ziemskiego świata —
Powstanie człowiek! nié ma nieżywych u pana.

A. TOMKOWICZ.

O ZAKŁADZIE

## OPIEKUŃCZYM MAŁYCH DZIECI.

*Z Mnemozyny dr. Zawadzkiego.*

Jak słodkie zatrudnienie giętki umysł wspiérać,
Wlewać świętą do czynów szlachetnych ochotę,
I gruntować w umyśle nieskażonym — cnotę!
*Feliński.*

Nie zbywa wprawdzie w naszém mieście na szkołach, zakładach wychowawczych, i na tak zwanych pensyjach; lecz najdobroczynniéjszego ze wszystkich instytutów nie posiadamy, to jest: Zakładu przeznaczonego dla pielęgnowania ubogich, małych, do szkół jeszcze nieuzdolnionych dzieci, najuboższéj, pracującéj klasy, które na ulicach dziczeją i wcześnie już próżniactwem i złym uwiedzione przykładem, zaród złego do miękkiego przyjmują umysłu.

Jużto nie raz, przywodząc za przykład tak wiele miast wielkiego Cesarstwa i zbawienne skutki podobnych przedsięwzięć, podawałem myśl do założenia takiego instytutu, i, o ile mi wiadomo, nie bezowocnie; albowiem wielu szlachetnie myślących, starało się urządzenie i cel zakładów zachowawczych bliżéj rozpoznać. Z przybyciem pana komisarza wojennego Schiessler, który w Pilznie (w Czechach) przez swoje niezmordowane usiłowanie, mimo wielkie przeszkody, podobny temu, a teraz najpomyślniej kwitnący zakład zaprowadził; sposobność uskutecznienia tego pomysłu bliższą jest swego celu; a tak i my nie długo przy boskiéj pomocy, i za wspólném przyłożeniem się spaniałomyślnych mieszkańców Lwowa, takowy zakład opiekuńczy dla małych dzieci, posiadać będziemy.

W czasie mojéj bytności w Wiédniu r. 1832, gdym zakład opiekuńczy dla dzieci na dzielnicy *Rennweg* odwiédzał, wzruszony byłem doskonałém onegoż urządzeniem i dobrodziejstwem, jakie tu szczodrze się rozléwa. Cała uwaga i pieczołowitość tak nauczycieli, jak nauczycielek i dozorców nato są zwrócone, ażeby te małe istoty, bez opieki będące, uszczęśliwić, łagodnością i miłością prowadzić, nie zaś surowémi środkami naganiać; surowość, jestto powiew wiatru północy, który skoro kwiatek ozionie już go razem i zamraża; gdy przeciwnie ożywny promień miłości nadaje mu nowe życie. Surowość odraża dzieci, łagodne zaś i uprzejme z niemi obejście się, przywiązuje do nauczyciela, a tém samém sprawia, że z jego nauk więcéj korzystać mogą.

Nie jednemu z naszych czytelników zapewne przedmiot o którym mówię, nowym się wydawać będzie; dla takich więc daje objaśnienie: iż zakład opiekuńczy dla małych dzieci nato przeznaczony, aby niezdolne jeszcze do szkół publicznych dzieci, to jest: od 2 do 6 lat mające, od ubogich, za domem zatrudnionych pracą rodziców, przyjmować na dzień, zachowywać je od przypadków, oraz fizyczne i umysłowe ich zdolności w naturalny sposób rozwijać, i stósowną wprawą, naukę zastępującą, do szkoły przysposabiać.

Korzyści wynikające z tego rodzaju zakładów są bardzo wielkie, a w krótkich słowach następujące: Dla dzieci przyjętych stają się one razem zachowawczémi, uzdrawiającémi i przygotowawczémi zakładami, albowiem chronią od wielu niebezpieczeństw otaczających te bezsilne istoty; uzdrawiają je z fizycznych i moralnych ułomności, i wszystkie ich siły rozwijają i kształcą; takiém obchodzeniem się stają się usposobionémi do wszystkiego co dobre, prawdziwe i piękne, a odrazają się od tego, co złe i szkodliwe; a oraz przygotowują się do przyszłego swego powołania, i do dalszych przeznaczeń, co tém łatwiéj nastąpić może przez wczesne obudzenie i kierowanie ich religijnych i moralnych uczuć. Na młodsze rodzeństwo działają te zakłady w ten sposób, iż starsze dzieci nie przeszkadzają im w spoczynku, potrzebnym do ich roślinnego rozwijania się, a przytém, że w piérwszym życia swego okresie bezpodzielnéj doznają pieczołowitości. Na starsze zaś rodzeństwo działają one w ten sposób, że te nie są zmuszone dla doglądania młodszego rodzeństwa ani szkoły, ani swoich zatrudnień zaniedbywać; nadto, że słuszniéjsze widząc jakie zdolności i wiadomości rozwijają młodsze dzieci, silniéjszy czują w sobie bodziec stania się pilniéjszémi i obyczajniéjszémi, aby nie dać się młodszym zawstydzić. Na rodziców i opiekunów wywiérają wpływ przez zachowanie nieskażonéj niewinności, albowiem droga do serca rodziców przechodzi przez serce ich dzieci; dobre i pożyteczne nauki, które rodzicom za pośrednictwem ich dzieci przyswoićby można, nie mało dobrych skutków przyniosą. Nie tylko rodzice powierzonych dzieci, ale i drudzy, którzy lekce ważą i nie szanują obowiązków rodzicielskich, tym sposobem więcéj się dbać

o nie nauczą. Wiele rzeczy należących do fizycznego i moralnego wychowania dzieci, nie było im znanych, lecz w podobnym zakładzie przypatrzywszy się zastosowaniu onychże, postrzegą zbawienne skutki takowego obchodzenia się i zachęcą się do naśladowania. Nie jedna matka, powierzając swoje dziecko, zapewne ze wstydem wyzna, że nie przykładała równego starania i uwagi w ochędostwie swego dziecka. Następnie mogą rodzice spokojnie i bez przeszkody do swoich udawać się zatrudnień, przezto ułatwia się ich zarobek, a tém samém bardzo dobroczynny wpływ na dzieci wywiéra; uboższych zaś rodziców i opiekunów, którzy w tym zakładzie nie mają udziału, pobudza to do współzawodnictwa z drugimi. Wszystkim matkom służą one za wzór, jak dzieci w tym wieku wychować należy i potrzeba. Sztuka ta powinna wprawdzie być zgłębianą, lecz żywe przykłady lepiéj tu służą, niż martwe księgi. Dzieci z każdym dniem lepiéj, czérstwiéj i weseléj wyglądają, przytém w ogólném wykształceniu postęp czynią. Nabiérają śmiałości w odpowiedziach przez zaznajomienie się z tyloma osobami, które do nich uprzejmie zbliżają się z powodu swoich zatrudnień, których się w zakładzie podjęły. Komuto wiadome, jak wiele zależy przy wychowaniu dzieci ćwiczyć je w gładkim sposobie wyrażania się, ten zapewne nie zgani tego, aby je wprawiano do dobrego tłumaczenia się. Jeżeli ich razem znajduje się wiele, przezto nawykają do wielu cnót towarzyskich, jakoto: do uległości, do zgody, do usłużności. Ćwiczenie pamięci i wczesne wpajanie niektórych dobrych zasad życia, można udzielać nieznacznie, tak, że dzieci same na tém się nie postrzegą.

Nie wiele matek rozumié się na wychowaniu bardzo małych dzieci, albotež że dla innych domowych zatrudnień nie zostaje im nato czasu; w tych zakładach można będzie dziewczęta wprawiać do piastowania dzieci, co przyniesie z czasem korzyść dla wyższych i oświeceńszych stanów, które z zupełną ufnością dzieci swoje takim osobom powierzyć mogą, jeżeli ich zabawy lub zatrudnienia jakie wywołają z domu.

Oprócz tego, zakłady te są wyborném przygotowaniem dzieci do właściwych nauk szkolnych. Wtedy szkoła nie będzie dla nich ponurém więzieniem, lecz rajem, w którym już tyle rozmaitych uciech doznały. Owe fałszywe wyobrażenia, jakie często nierozsądni rodzice tkliwym dziecięcym umysłom wpajają, jakoby szkoła była miejscem kary za ich wykroczenia, staną się bezskutecznémi. Zapewne, że z radością do szkoły pospieszą, jeżeli niesumienni rodzice wstrzymywać ich nadal nie będą. Już to na tylu dzieciach dowiodło doświadczenie, że te, które uczęszczały do zakładu opiekuńczego, pilniejszémi okazały się w szkole i lepsze robiły postępy, niż te, które nie były w zakładzie. Nie tylko na kraj, ale nawet na całą ludzkość mają wpływ podobne zakłady. Aby panowała wewnętrzna spokojność w państwie, powinno na tém każdemu dobrze myślącemu zależéć. Między innémi truciznami, które tak zgubnie wewnątrz działać mogą, należy zwrócić uwagę i na takie w społeczeństwie przywary i niedostatki, jakiemi są: nędza i ubóstwo, niemoralność, różnorodne występki, ubieganie się za nowością, próżniactwo, nieukontentowanie i uwiedzenie. Zyska więc na tém wewnętrzne bezpieczeństwo państwa, jeżeli takie niebezpieczne złe roztropném wychowaniem w samym zarodzie zniszczone będzie. Każdy, choćby najniższego stanu, wychowany rozumnie i moralnie, i postawiony w możności zarobienia sobie na życie, nie okaże ani skłonności, ani uczuje pobudki do przedsięwzięcia czegoś przeciw bezpieczeństwu kraju, owszem weźmie to sobie za powinność zgodną z jego własnym interesem, przykładać się wszystkiémi siłami do obrony onegoż.

Każdy to przyzna z dziękczynném wzruszeniem, ile już dobrego doświadczył, odkąd duch łagodności ocknął się w szkołach i w wychowaniu młodzieży, i odkąd rozlał się jak tchnienie wiosenne, rozwijające po wszystkich krajach najpiękniéjsze kwiaty. Czysta wola rządu w wyświadczeniu dobrodziejstw poddanym, dopięła zupełnie swego pięknego celu, przyczém wiele jeszcze pożytecznego i dobrego zdziałano, co dopiéro w większéj pokaże się massie, im więcéj odpowiednie celowi wychowanie młodzieży rozciągnie się do istot najniewinniéjszych i najmłodszych wiekiem.

Zdaje się, iż ten krótki rys i wykład przeznaczeń i korzyści zakładów opiekuńczych

powinien być dostatecznym, aby każdemu, ktokolwiek szczérze zajmował się dobrem ludzkości, lub też przypatrzył się, do czego niedostatek prowadzi, dał dokładne wyobrażenie o celach podobnych zakładów. Zakład ten, którego przeznaczeniem jest dobroczynność w pojęciu wyższém, zasługuje właściwie na piękne i zaszczytne nazwisko zakładu ludzkości. Jestto główną zaletą naszego wieku, iż dobro ludzkości bliżéj go obchodzi, a więc w takiéj epoce należy wszystko, co tylko do tego najwyższego ziemskiego celu prowadzi, jak najspieszniéj gorącą duszą obejmywać i drugim w serce wrażać. Nato więc napisałem niniéjsze uwagi, aby usiłowania zacnych osób, które mają zamiar ustanowić podobny zakład w naszém mieście, stały się przez to pochopniéjszémi i wytrwalszémi.

Nadzieja i pomyślność rodzaju ludzkiego zawisły jedynie od wychowania. U klasy zamożniéjszéj nie brakuje w tym względzie, ani na środkach, ani na zakładach, lecz nie tak dzieje się w klasie ubogiéj, o czém bardzo pięknie powiada Bulwer: »Niewinne igraszki dzieci odejmują ubóstwu kolące ciernie, lecz dzieci prawdziwie ubogich ludzi nie bawią się, a ta okoliczność, że w izbie maluczkich nie przebywa dzieciństwo, nie jest jeszcze najsmutniéjszym rysem w obrazie ich okropnego losu. Nikt nie ma czasu, aby się z niemi bawił, nikt nie zada sobie pracy popieścić się z niemi, lub je utulić, pokołysać, pogłaskać; nikt nie całuje łez po ich licach płynących, a jeźli zapłaczą i zajęczą, mogą się tylko chłosty spodziewać. Bardzoto jest czuły pomysł, że dziecię choduje się tylko mlékiem i pieszczotami, lecz pożywienie ubogiego dziecięcia jest czcze i bezsilne. Na jego igraszki niewinne i chęć zwrócenia na siebie uwagi, ciągle odpowiadają skarceniem i surową naganą. Nigdy ubogie dziecko nie miało zabawki, nigdy nie wiedziało, co jest kwiatek, nie miało nigdy marzeń dziecęcych.« A jednakże jestto dopiéro jedna pod względem moralnéj oświaty najłagodniéjsza strona obrazu. Lecz dzieci, zostawione za obrębem domu, jakieżto przyjmują wrażenia? Wiémy, że wrażenia, wpojone między 3cim i 10tym rokiem życia, są niejako źródłem dalszego sposobu myślenia, jeżeli późniéjsze ukształcenie nié ma miejsca, co między ubóstwem najczęściéj się przydarza. Rozpusta i gry młodzieży zostawionéj saméj sobie, są szkołą występku; tam zwykle kształci się złodziéj i rozbójnik. Aby zaś takiemu zepsuciu, najwięcéj rozpowszechnionemu w klasie niższéj, wraz z skutkami na które nié ma lekarstwa, na dal zaradzić, zdaje się, iż zakłady opiekuńcze najlepszym mogą być środkiem. Do tego potrzeba jeszcze, aby przy podobnych zakładach były ogrody, w którychby dzieci podczas pięknéj pory roku po większéj części dnia bawiły się, a tém samém uchodziły szkodliwego zamkniętego powietrza w izbach, jak i niezdrowych wyziewów ulicy, co bardzo dobry wpływ, równie na ciało jak i na umysł wywiéra. Jeżeli rozważymy jeszcze i to, jak małych nakładów potrzeba, aby ten zamiar przywieść do skutku, nie pozostaje, jak tylko, aby każdy przyjaciel ludzkości najgoręcéj pragnął zaprowadzenia onychże po wsiach, miasteczkach i miastach. Z podziwieniem naszém zaręczają nam naoczni świadkowie, jak te uobyczajone i ukształcone dzieci nawet na swoich rodziców, którzy lepszego wychowania nie wzięli, skuteczny wpływ wywiérają, a to w ten sposób, że tak w praktycznych wiadomościach, jakoteż w przyzwoitém obejściu się, rodzice nie chcą się niższémi od swoich dzieci pokazać. Że zaś takowe cuda nie są zmyśleniem, łatwoto sobie pedagogiczny znawca wytłumaczyć potrafi, gdy usłyszy, że »zabawa i dozór są jedyném środkiem, za pomocą którego wszystkiego tu dokazać można. Kto to raz widział, ten łatwo pojmie, ten uwierzy téj istotnéj prawdzie, że dzieci, które uchodziły za zdziczałe, za nieugłaskane, za pierwszym wstępem do towarzystwa dobrych dzieci, jakby obwiane tchnieniem ciszy, odmieniły swój charakter, — i nagle sama zabawa to na nich sprawiła, czegoby nigdy ani surowością, ani gniewem dokazać nie można było. Kto się obszérniéj o téj rzeczy zawiadomić pragnie, tego odsyłam do dzieła: *Chimanis teoretisch-praktischer Leitfaden für Lehrer in Kinderbewahr-Anstalten.* Pragnąc najszczérzéj, aby tych kilka uwag obudziły chęć najżywszą dokonania tego dzieła, zamykam rzecz moję słowami zacnego Krüsi: »Przyjaciele ludzkości! podnieście dziécię ubogiego do tego szczytu, ażeby w sobie saniém mogło znaleźć to bogactwo, jakie Bóg wlał w jego naturę, i ten honor, jaki zasadza się na

uznaniu siebie w swojéj własnéj wartości! Wznieście je do tego wysokiego przekonania: Złota i srébra nié mam, ale mam siły ku pożytkowi ludzkości.«

## CHOCIM.

(Z Tygod. Petersb.)

Idź za mną po tych ścianach, szczebluj na te mury,
Gdzie tylko orzeł skrzydło, bluszcz gałązkę wspina,
Tam mieszka starożytność, gnieździ się ruina,
Niwecząc z Hydrą czasu wieków gród ponury.

Widzisz okno téj baszty, wybiegłéj pod chmury,
Tém oknem księżna Olga, podanie wspomina,
W Dniestr skoczyła z pogardą łoża islamina,
Śmierć ważąc nad pohańca haremskie purpury.

To jéj cerkiew, odarta z piérwotnego stanu,
Meczet później, jak sądzę z menaru podstawy;
Tam przy greckich napisach drzémie wiérsz koranu.

Niegdyś sławny, dziś tylko jak mumija sławy;
Ten zamek dźwiga sztandar dwudziestemu panu,
Któż piérwszy? Czas zapomniał, naprożnoś ciekawy.

A. S.....

## GDYBYM BYŁ ŻONATYM!

Gdybym był żonatym, mieszkałbym na wsi i nie zaniedbywał nauk w szkole tak moralnie nabytych, ale takowe w zawodzie obranym przystosowywał, doskonalił i nie pozwalał współuczniom z mojéj nieumiejętności bezczelnie korzystać. Nic bowiem z nauk tak nie usługuje towarzystwu i sobie, jak logika i matematyka. Piérwsza uczy wybiérać, rozbiérać i sądzić o lepszości rzeczy, druga mierzyć, podzielać i przystosowywać swoje czynności, ażeby jak najmniéj było ułamków w postępkach.

Gdybym był żonatym nie ubiegałbym się za kochankami, dla tego, że mi żona spowszedniała, lub trochę straciła na piękności. Chcąc mieć przywiązaną żonę i prawdziwą przyjaciółkę, trzeba się starać jéj zawsze podobać i w niczém się nie zaniedbywać. Drobne, a częste przysługi, z serca czynione, więcéj obowiązują, jak ofiary wielkie, przy ciągłém zaniedbaniu siebie i żony.

Gdybym był żonatym nie straciłbym dochodów na wykwintne obiady lub ekwipaże, dla tego tylko, żeby ludzie o tém wiedzieli, ani namawiał żony na stroje kosztowne, żeby się wywyższyć między nierównémi sąsiadkami. Jakże zniża się ten człowiek, co w domu skąpe i brudne życie prowadzi, a przed światem inną przybiéra postać.

Gdybym był żonatym nie ganiłbym młodéj żonie wesołości i nie bronił tańca; dosyć czasu poważną przybrać rolę, gdy dorosłe będą dzieci, lub wiek sam wstrzyma skoczne zapędy. Odwiédzać towarzystwa modnego świata nie psuje obyczajów młodéj żony, byle mąż przytomny usprawiedliwiał postępowanie. Często nawet zabiegi młodych kawalerów, obudzają uśpione upodobanie mężów w żonach.

Gdybym był żonatym nie byłbym niańką, ale ojcem dla dzieci; zbyteczna troskliwość prowadzi do dziwactw, a dzieci do pieszczot. Pieszczone bowiem dzieci nie przywiązują się, ale zuchwalą. Kobiétom właściwsze jest wychowanie młodocianych dzieci, by serca przez nich udelikacone, rozumem i powagą ojców prowadzone były. One ich nauczą słodyczy w pożyciu, a my obowiązków dla sąsiadów, przyjaciół i wieku.

Gdybym był żonatym nie dawałbym okazyi do zazdrości żonie, bo trudno się obronić piérwszym oznakom nieukontentowania. Gminna bowiem jest ta zazdrość, przez którą męża posądzić można, że się w innéj kocha, ale zazdrościć tych przymiotów i zalet, któremi męża przywiązać można, jest kobiét szlachetnych obowiązkiem.

Gdybym był żonatym nie wymyślałbym w kucharzach dla tego, że marcypanów lub francuzkich potraw nie umieją, ale mierząc się z stanem, często na dobréj przestałbym kucharce. Gdyby nakoniec i żony uczono gospodarstwa domowego, jakżeby często można zaradzić w nieumiejętności kucharza, lub mężowi przysmaczek przyrządzić, a tak wychowane na panie często płaczą na niedostatek.

Gdybym był żonatym nie dawałbym żonie powodu do wymysłów i zachęceń chwilowych przez zbyteczną miękość lub słabość charakteru, ani też wymawiał datków z jakiegokolwiek względu pochodzących. Zawsze dogodzić, jestto mieć kobiéty za dzieci, których potrzeba bawić, żeby nie płakały, a wymawiać dary jestto obrażać ich delikatność.

Gdybym był żonatym nie wydawałbym żonę z tajemnic małżeńskich, ani jéj wady przy ludziach nie wymawiał. Zawstydzona

traci serce do męża, a wtenczas jedno słowo przymilające poufnego, chociaż jeszcze nie kochanka, osłabia w żonie przywiązanie.

Gdybym był żonatym nie udawałbym przy żonie świętoszka, aby lepiéj niewinność swoję pokrywać. Obrażone kobiéty skorsze są do zemsty, jak do pobłażania.

Gdybym był żonatym nie odłączałbym się od towarzystwa kobiét, i nie przenosił malowanego króla w kartach nad kochaną żonę i uprzejme kobiéty. Zaniedbanie zniechęca; zniechęcenie przeniewierza.

Gdybym był żonatym nie wzdychałbym ciężko za żoną gdy tylko do kościoła lub w sąsiedztwo wyjedzie, i nie gdyrał za spojrzenie miłe, kiedy nie zalotne. Bojaźń o wierność wprowadza podejrzliwość; a podejrzliwość niesnaski domowe. Tłumaczenie nieufności zbytkiem kochania nie służy; gdyż kobiéty wolą mniéj miłości, a więcéj uprzejmości.

Gdybym był żonatym wciągałbym żonę do swoich zatrudnień, szczególniéj gospodarskich, ażeby obeznana z stanem interesów zgodniéj, czasem mierzyła swoje wymysły, zatrudniona nie nudziła się w domu własnym, a gdy wdową zostanie gospodarstwo nie było jéj obcém.

Gdybym był żonatym nie zapisywałbym dożywocia żonie na całym majątku, nie wydzieliwszy piérwéj dzieciom, jeżeli nie większego, to przynajmniéj równego z matką majątku. W wieku późniéjszym przywiązuje się łakomstwo, fałszywe upodobanie, opuszczenie i obawa godności, nie już z przymiotów duszy, ale ze zmniéjszonéj fortuny. Biada tym dzieciom, których rodzice nie chcą za życia widzieć wzrastającéj pomyślności swych dzieci, aż póki śmierć zamiast synów aż wnuków majątkiem podzieli.

Gdybym był żonatym nie narzekałbym na stan przeze mnie obrany, nie wyliczał niesmaków, często z własnych wynikających powodów, ale je przez rozum osładzał i na lepsze przemieniał pożycie.

Gdybym był żonatym unikałbym towarzystwa rozpustnych obyczajów; ile podobna wolność nie przystoi dobrze wychowanym kawalerom, tym mniéj żonatym, ojcom i ludziom powagę w kraju mającym.

Gdybym był żonatym nie odłączałbym mieszkania mojego od żony. Zbytna obojętność względem siebie, sprowadza obojętność w wychowaniu dzieci, jak równie na różne dwuznaczne wprowadza pomysły. Czy może lepiéj utkwić w sercu młodéj osoby nauka moralna, jak przykładami wsparta.

Gdybym był żonatym nie oswajałbym żonę z moją nieobyczajnością. Podobne postępowanie zniża godność człowieka, pozbawia wstydu i skromności, jedynéj cechy kobiécéj.

Gdybym był żonatym wolałbym, żeby żona moja towarzystwo uprzyjemniała, jak ciągle siedząc w garderobie, czas tak drogi na marnych drobnostkach, próżność tylko podnoszących, i w nieczynności przepędzała. Towarzystwo nizkiéj klasy zbliża wprawdzie uczucia ludzkości, ale nie uszlachetnia i nie podnosi tego ducha towarzyskiego, do jakiego wychowanie nas usposobiło.

Gdybym był żonatym nie chciałbym, żeby żona ciągle, jak mamka lub niańka, dziećmi była zajęta. Młodociany wiek dzieci nie potrzebuje tylko rozwinięcia sił, ażeby mozoły naukowe i mogące wypaść niewygody łatwiéj znieść się dały, a do tego dosyć przywiązanego i rozsądnego sługi; gdyż poźniéjsze usposobienie należy więcéj do baczności i starań rodzicielskich. A. K—i.

---

*Nié ma nad Pawła!*

Czy słyszysz, jak po wieżach gęsto tłuką w dzwony?
Nasz Paweł zagasł — zagasł Paweł uwielbiony!
O, byłto Polak, słyszysz, Polak bez przywary—!
»I cóż Polszcze zostawił?« Polskie sza......

*i. n. k.*

---

WYIMKI Z PODRÓŻY PO GALICYI
w r. 1831.

Piérwszém miejscem, w którém oko moje dawno pożądany Dunajec powitało, było miasteczko Wojnicz. Ślady dawnéj onegoż wielkości pozostały tylko w kościele dość okazałym, niegdyś do rzędu kolegiat należącym. Ciszéj i spokojniéj, lecz nierównie głębszą myśl w sobie dumający, płynie tu poważnie Dunajec, zmierzając w ramiona matki rzék polskich, Wisły. Miasto Wojnicz założone (jakto podania latopisów naszych głoszą) jeszcze od Bolesława Śmiałego, rozpłaszającego w tych stronach ostatki owych niesfornych kobiet z ich obrońcami. Ta hurma kobiet była tu zwalczona; doścignęła je ohydna kara noszenia psów, a pamięć czasu owego pozostała ledwie w śladach okopów, wznoszących się w pobliżu Wojnicza, które lud górą panieńską zowie. Wojnicz w dziejach polskich znany jest także z porażki, którą Polacy od Szwedów r. 1648 pod hetm. kor. Stanisławem Lubomirskim ponieśli. Poźniéj r. 1665 opiérała się tu szlachta, zebrana pod dowództwem Władysława księcia

Ostrogskiego, natenczas dziedzica Tarnowskich imion, na przeciw Szwedom; jednakże i tą razą nieszczęśliwy był opór. Zamek wojnicki, należący niegdyś do rodziny Tarnowskich, siedlisko kasztelanów wojnickich, z którego tylko dzisiaj ledwie smutne gruzy trawą porosłe pozostały1), wznosił się na przyległym wzgórku Trzeblinem zwaném. Pamiętny jest on pobytem króla Zygmunta I. wraz z Boną, i żoną syna Zygmunta Augusta w r. 1543, podczas szérzącego się morowego powietrza, przed którém Zygmunt Aug. do Wilna umknął, ojciec zaś jego do Zatora, zkąd na prośbę Spytka pana z Tarnowa, podskarb. koron., udał się do tegoto zamku.2)

Droga z Wojnicza, przerzynająca uroczą dolinę dunajcową prowadzi nas do miejsca, nie mniéj w dziejach znakomitego, niegdyś miasteczka dziś wsią tylko będącego, Lusławic. Należało ono do rodziny Taszyńskich. z których jeden hołdując nowéj sekcie Socyjanów założył tu kościół i drukarnię dla tego wyznania, i nauczyciela Fausta Socyna gościnnie w dóm swój przyjął. Socyn leży pogrzebany pośród wsi téj, w pięknéj nieco wyżéj nad drogą leżącéj równinie; kamień czterograniasty ciosowy, wywrócony, mający napis włoski, służy mu za nagrobek. Miejsce to, które niegdyś i za kościół Aryjanom służyło, ocieniają odwieczne lipy i akacyje w półkole pięknie zasadzone. Z rozkoszą przepędziłem chwil kilka na tém tak świętém miejscu, przeszłość cała odbiła się w méj duszy, złorzeczyłem sprawcy niegodziwości, jaką przed kilka dopiero laty popiołom tego męża wyrządzono. Życie męża, sławnego w dziejach wieku 16go i 17go, a dziś zupełnie przepomnianego zawsze tu na czcigodną zasługuje wzmiankę. Faust Socyn, r. 1636 w Syennie z znacznéj rodziny włoskiéj urodzony, pomagał rozszérzać zdania stryja swego Leliusza, uczonego prawnika, bawiącego i w Polszcze przez czas niejaki. Zjednało mu to nienawiść wielką u papieża, prześladowany, zmuszony był do opuszczenia Włoch i tułania się po różnych krajach. Błogo kwitnęła Polska wśród zaburzeń religijnych, jakie innémi krajami miotały; umiał Zygmunt August i następcy jego cenić zdania różnowierców, objawiające się w Polszcze, słynącéj największą wtedy oświatą. Cześć i wsparcie, którego Trzecieski, Modrzewski, Stankar, Grzegorz Pauli i inni uczeni rodacy od możnych w Polszcze doznawali, zniewoliło Socyna szukać w tém kraju także przytułku. Znalazł go Socyn; po kilku szczęśliwie odbytych dysputach3) wielce był poważany, i wziął za żonę r. 1582 córkę Morsztyna, dziedzica na Pawlikowicach pod Wieliczką. Z nią mieszkał z początku w Krakowie, jednakże od uczniów akademii tamtejszéj, którą właśnie Jezuici po długiém ubieganiu się objęli, źle bardzo przyjmowany, a nawet po kilkakroć okropnie zbity, zmuszony był do przeniesienia się do Łusławic, gdzie spokojnie wiekiem obciężony 1604 r. życia dokonał. Zwolennicy Socyna, aczkolwiek pod rządem słabego króla Zygmunta III. na podmawianie Boboli prześladowani, znacznie się jednak rozkrzewili; miasto Leszno, Pinczów i Rakow uważane były za główne ich siedliska. W témto ostatniém mieście założyli sławną swą drukarnię, w któréj wiele dzieł mianowicie z napisem Irenopolis, Sternacki i Rodecki tłoczył. Prześladowania, do jakich czerń, innych przeciw temu wyznaniu pobudzała, wskrzesiły rozterki i niepokoje domowe w koronie, które ją zupełnie osłabiły. Ostatni cios Socynianom zadał r. 1658 Jan Kazimierz, wskazując wszystkich Aryjanów4) na wygnanie. Liczne rodziny, celujące tak majątkiem, jakoteż i naukami, zmuszone były opuszczać z żalem niwy rodzinne, a szukać przytułku i grobów swych w cudzych stronach. (Ciąg d. nast.)

1) Nie dawno jeszcze znaleziono tu wielki kamień z napisem gockim: Przemyśl, co wielką starożytność miejsca tego dowodzi.

2) Ob: Ł. Górnickiego: Dzieje Koron. Pol., Kraków 1657.

3) Jeden takowy spór opisuje Grzegorz Piotrkowski w księdze: Pogrom Lewartowski, Kraków 1592, w któréj tak o Socynie mówi:
»Tamże też pod krzcielnicą nizko Socyn siedział,
»Włoch w lisiéj staréj szubie, kołpak na głowę wdział.

4) Aryjanami zwano Socynianów dla tego, iż w wyznaniu swém, w którém bóstwo Jezusa zaprzeczali, mieli wiele zdań Aryjusza, prezbitera w Alexandryi, którego błędy r. 325 na soborze nicejskim potępiono. Antytrynitaryjuszami zwano ich dla tego, że odrzucali tajemnicę Trójcy Ś.

---

— Ze Lwowa. —

J. ks. Boczkowski, proboszcz rzeszowski, udziela dwóch nagrobków w kościele farnym w Rzeszowie znajdujących się, a dotąd nie wspomnianych, ani w Starowolskim, ani nigdzie: 1) *Generosa Ursula de Koczmarów ex hoc luce decessit An. Dom.* 1552 *aetatis suae* 42. 2) *Generosus Nicolaus Rzeszowski Zerków totius Rzeszów haeres, et primus dominus, in extraneos liberalis et hospitalis, in subditos beneficus, ex hac luce decessit An. Dom.* 1574 *aetatis suae* 35. — Zachęcamy do podobnych odkryć innych światłych plebanów kraju naszego; one bowiem, w jeden zebrane ogół, o wiele rozświeciłyby dawną heraldykę, a może i dzieje nasze.

Uczony Maciejowski w tomie czwartym Historyi prawodawstw sławiańskich powiada: »W akcie urzędowym ruskim z r. 1302 księcia Lwa Daniłowicza (założyciela Lwowa), który się miał znajdować w zbiorze rękopisów ś. p: Józefa Dzierzkowskiego, pokazuje się, że w ziemiach ruskich oznaczano granice leśne drzewami, poświęconémi niegdyś sławiańskim bóstwom, a które jeszcze wtedy (już dawno schrześcijaniony) czcił lud sławiański. Powiedziano bowiem w tym akcie, że granica lasu ciągnie się *ot tej hory do Perunowa Duba*, i podobne wyrażenia się mają się znajdować w wielu starożytnych aktach ruskich.«

Powszechnie chwalą w Paryżu zrobione ostatniemi czasy przez Dawida popiersie Mickiewicza z białego marmuru. Dzieło to ma należéć do najznakomitszych tego sławnego rzeźbiarza.

Z Wilna. Wyszczególniają się tu rysownicy i litografowie pp. Smokowski, Rypiński, a mianowicie p. Oziębłowski, którego następujące rysunki wyszły w ostatniém czasie w Wilnie: *a)* Widok miasta Wilna z Pohulanki; *b)* kosciół antakolski Śgo Piotra, *c)* ratusz w Wilnie; *d)* pałac cesarski i obserwatoryjum tamże; *e)* ruiny Zakretu; *f)* widok Wilna z Popław; *g)* były zamek Jagielloński w Wilnie; *h)* kościoł Śgo Jana; *i)* góra Trzech Krzyżów; *k)* katedra; *l)* kościoły Ś. Anny i oo. Bernardynów; *m)* kościoł nowy ewangelików reformowanych; *n)* Trynapol; *o)* Ostra Brama tamże; *p)* ruiny zamku Kiejstuta na wyspie Trokach i t. p. A.

Mamy wiadomość pewną, że rok 1836 płodnym będzie w Almanachy polskie. Noworocznik warszawski na r. 1836 z ozdobnémi angielskiémi rycinami, na pięknym welinowym papierze, znajduje się pod prasą; toż samo *Znicz* wileński; a w Dreźnie ma wyjść *Melitele*. (G. P.)

Dnia 26. października b. r. król. berlińska akademija śpiewu w obec znakomitych osób i licznych znawców, oraz miłośników muzyki, wykonała dzieło muzyczne, które utwoozył książę Antoni Radziwiłł, i mające tytuł *Faust*. Oddano należny hołd wzniosłemu talentowi księcia, który jest gorliwym opiekunem sztuk pięknych, a szczególniéj muzyki. Particyja tego dzieła wkrótce wyjdzie z litografii. (K. W.)

W mieście Tarnopolu urodziło się dziécię płci żeńskiéj z rodziców starozakonnych, które szczególniéj po kąpieli, gdy pot rzęsisty na nie wystąpi, okryte bywa punktami **złocistémi** kształtu romboidalnego. Te cząstki świécące, zebrane i pod rozbiór chemiczny wzięte, nie okazały metalicznych własności, z tego więc powodu lekarze utrzymują, iż to jest materyja zwierzęca własności fosforyzujące mająca.

Jak niebezpiecznie małym dzieciom dozwalać samowolnie bawić się różnémi przedmiotami, dowiódł przypadek: w Rawskiem córeczka obywatela ziarnko fasoli wsadziła sobie w nosek; to ziarnko, trudno było wydobyć, i musiano przywieść dziecko do Warszawy, gdzie odbyto szczęśliwie operacyją; owe ziarnko w nosku dziecięcia już było puściło kiełek! (K. W.)

Prócz wydarzonego nie dawno przypadku, iż w Płockiem jeden z właścicieli dóbr, zbliżywszy się za nadto do machiny młócącéj i schwycony przez nią, życie postradał; takiemuż przypadkowi w Zatorach ulegli ekonom i pisarz, jeden z nich żyć przestał, drugi bardzo został skaleczonym. (K. W.)

Przed kilkunastą dniami w Zgierzu, w Król. Polskiém, żona jednego z tamecznych fabrykantów, porodziła dziecko, mające dwie zupełnie foremne głowy; ten potworek wkrótce żyć przestał. (K. W.)

Przed 30 laty znany chemik Strasser, mieszkając w okolicach Lublina robił syrop i cukier z trawy nad Wieprznej. Trawa ta rośnie tylko nad brzegami téj rzeki, jest osobliwego rodzaju, trzyma środek między trawą a trzciną, rośnie na półtora łokcia i więcéj, jest ostra i twarda, od bydła i koni nadzwyczajnie lubiona. Wieśniacy polscy zowią ją *szuwarem miodowym*, a ruscy *sołodycią*, oba te gminne nazwiska dowodzą własności rośliny. To pewna, iż badyl téj trawy urwany i zgnieciony w palcach, wydaje z siebie miazgę lepką i mocno słodką. Strasser podług doświadczeń, które z nią robił, utrzymywał, iż: 1) mało co mniéj wydaje cukru od trzciny amerykańskiéj; 2) iż nie trzeba jéj kosić na wiosnę, lecz w jesieni gdy zupełnie dojrzeje; 3) iżby doskonalszą jeszcze była, gdyby ją stosownie uprawiano. Śmierć Strassera przerwała dalsze w téj mierze doświadczenia. Nie podobna, aby roślina ta nie miała się i w Galicyi znajdować, odkrycie jéj przy dzisiejszém rzuceniu się do fabryk cukru, wieleby mogło przynieść korzyści.

Filip Ślepiec, Bośniak, ze wsi Medjasechi, w dziecięctwie wzrok straciwszy, poświęcił się śpiewom i muzyce. Poetyczny jego talent rozwinął się w wojnie Serbów z Turkami. Najwięcéj wtedy przebywał w taborach serbskich, gdzie śpiewał bohatérskie czyny swoich ziomków i do męztwa ich zapalał. Cztéry jego synowie walczyli wraz z drugimi o niepodległość. Sam Filip najczęściéj siedział na okopie, przegrywał na gęśli, śpiewał i pośród świstu kul nieprzyjacielskich często się odzywał: »Bijcie! jakbym ja bił, gdybym nie był ślepy!« Niektóre z jego pieśni przełożył na niemieckie Gerhard w dziele: *Wila oder serbische Volkslieder*.

Na maszkaradzie w Malcie, dawanéj przez tamecznego gubernatora angielskiego, pokazało się dwóch oficérów angielskich w postaci dwóch butelek z czernidłem do butów. Pokręciwszy się nieco po sali, uderzyli o siebie, a ze stłuczonych czerepów wyskoczyło dwóch hożych arlekinów.

Włościanin, odnosząc czynsz swojéj dziedziczce, wielkiemi wypatrzył się na nią oczyma, gdy ją ujrzał z jedwabnémi lokami, uróżowaną i z szeregiem fałszywych zębów: »Cóżto,« rzekła, »czy jestem nową rzeczą dla ciebie?« — »O, nie nową,« odrzekł prostoduszny wieśniak, »lecz bardzo **dobrze odnowioną**.«

Piszą z Oporto pod dn. 29. września: Zrobiono tu niezmiernie ważne odkrycie do wyświécenia dziejów starożytnych. W klasztorze Santa Maria de Merinhao, w prowincyi między Ducro i Minho, wynaleziono dziewięć zupełnych ksiąg Historyi Fenickiéj Filona z Byblos, które tenże z fenickiego Sanchoniatona na greckie przełożył. Dotąd znano tylko piérwszą księgę w dziele Euzebiusza: *Praeparatio Evangelica*, i to z wielkiemi niedokładnościami. Pułkownik Pereira, który téj wiadomości udziela, wkrótce rozpocznie drukowanie tego dzieła w Niemczech.

**Opera Piotra W.** Wiémy jakie wrażenie na Piotrze W. sprawiła cywilizacyja europejska; zobaczywszy operę piérwszy raz w Paryżu, umyślił sprowadzić ją do swego państwa. W r. 1701 mała trupa aktorów przybyła do Gdańska, przedstawiająca jedynie małe krotochwile ze śpiewem i tańcami. Piotr skoro się o tém dowiedział, rozkazał Mężykowi, aby z niémi weszdł w ugodę, jakoż nie długo potém 9 osób ze swoim dyrektorem puściło się do Moskwy. Kędy tylko przejeżdzali zabobonni Moskale bili pokłony, i żegnali się, w przekonaniu, iż opera, słowo dla nich niezrozumiane, musi być jakąś piekielną sztuką, gdzie djabeł największą gra rolę. Dyrektor nazywał się Kunst, cały też kunszt jego zasadzał się na tém, że nigdy się nie zmieszał, i zawsze śmiało wystąpił. Piotr zostawił mu do woli, czyli ma zacząć widowisko od opery, czyli od pantomicznego baletu, i naznaczył mu nato 1szy dzień kwietnia, lecz dyrektor znalazł nieprzełamane przeszkody; towarzystwo jego ucierpiało wiele w długiéj podróży, Prima Donna wywichnęła rękę; grający rolę kochanków kulał; zacny ojciec, który bogów i królów przedstawiał, miał podbite oko. Kunst udał się do Meńżykowa, przekładając mu niepodobieństwo tak rychłego przedstawienia opery. Lecz faworyt nie śmiał przełożyć tego carowi, albowiem ten kazał ogłosić już operę, i wydał ukaz do wszystkich bojarów, ażeby na niéj znajdowali się z żonami. W takiem położeniu Kunst, człowiek z jenijuszem chwyta się sposobu. Sala już oświécona. Car przybywa z całym dworem; orkiestra gra uwerturę, podnosi się zasłona; lecz zamiast aktorów, pokazuje się na scenie niezmierne przezrocze, błyszczące napisem: *Dzisiaj jest prima Aprilis.* Car uśmiał się do woli z tego żartu, a bojarowie musieli iść za jego przykładem.

**Lord John Russel**, o którym tyle dzienniki mówią, którego nazwisko w każdéj natrafiamy gazecie, jest trzecim synem księcia Bedford, i człowiekiem tak małego wzrostu, że nawet i pięciu stóp nie trzyma. Ten wzrost mały czyni go młodym, bo nikt nie rachuje mu więcéj nad 45 lat. Głowa jego w czole bardzo jest széroką, a u podbródka wązką; co tworzy trójkąt. Włos jego jest ciemno-kasztanowaty, krótki i rzadki; oczy jego są wielkie, brwi mocno w łuk zagięte, a twarz blada, spokojna, łagodna i flegmatyczna, w któréj się nieco chytrości przebija. Oto jest powierzchowność Russla, z którą jego skromny i spokojny sposób mówienia zupełnie się zgadza; głos jego jest słaby i jednotonny, lecz razem i wyraźny; kiedy mówi, ciało jego równie jak mowa nie ożywia się: cała akcyja zasadza się na tém, że lewą rękę zakładając na plecy, trzyma się za prawe ramię i tak nieustannie z jednéj strony na drugą się kołysze.

**Mody.** Na stroje negliżowe i wizytowe używaną teraz jest nowa materyja, zwana *armures*; trzyma ona środek między *grodenaplem* i *atłasem*, dychtowność jéj i połysk, przytém miękkość i trwałość w noszeniu, sprawiają, iż świat elegancki niezmiernie za nią się ubiega. Wstęgi noszą na sobie piętno zimy, w arabeski, w mozaikę i naśladujące skórę zebry, z takim używane są zbytkiem, że nawet całe suknie są niémi garnirowane. Na płaszcze biorą nową materyją, zwaną *Angelo*; u których rękawy są tak obszérne, że cała kibić w ich fałdach ginie.

---

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.